

Lata ryżu

nota do redakcji:

(ta stara suka siedziała wczoraj półtorej godziny – na tyle starczyło jej kasety widocznie – nagrywając swoje rżenie, siedziała w kuchni, przy stole z matym, dziecięcym dyktafonem oblepionym w miniaturowe kalkomanie. Potem, kiedy wreszcie poszła się myć, a było to znacznie później niż czyni to codziennie, dyktafon ostentacyjnie zostawiła na blacie, jak nowy sprzęt kuchenny. Zostawiła go na całą noc, na cały ranek, przedpołudnie – kiedy wyszła na miasto. Potem schowała gdzieś na czas obiadu, który zjedliśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie. Po obiedzie przekroiła na dwie części kawałek kupnego tortu – sama nie potrafiła nic upiec – dyktafon zostawiając w kredensie, za lukrowaną szybą. Wszystkie jej poczynania obserwowałem przez szparę w drzwiach, w razie potrzeby kryjąc się w przedpokoju. Poprzedniego dnia, nie mogąc spokojnie wysłuchać jej pijanej spowiedzi, schroniłem się co prawda na tarasie, ale i tam dochodził do mnie jej spokojny, gotujący się na wyznanie wszystkich, głos... Udawałem, że czytam gazetę, idąc do kuchni po coś do picia, udawałem, że rozmawiam przez telefon. Nad ranem powodowany ciekawością, która jednak zwyciężyła nad gniewem i niesmakiem, przesiadłem się do nagrania, a jego treść pośpiesznie przepisałem, by zdążyć, zanim się obudzi. Zważywszy na nazwisko mojej matki, jej pozycję w świątku – pomyślałem, że może to być dla Państwa niezmiernie interesujące...).

Są lata ziemniaków i lata ryżu. Lata mierzone marką ulubionych papierosów, ilością biletów kolejowych w upragnionym kierunku, lata ulubionych programów telewizyjnych, ulubionych tenisówek, ulubionych pozycji w łóżku... Cokolwiek... Możesz mierzyć czas cokolwiek tylko chcesz, nie musisz nawet patrzeć na siebie w lustrze, doglądać postępującej starości, myjąc się w wannie – wystarczy, że popatrzyś na degradację wanny... Zegarów jest tyle, ile sobie tylko wymyślisz... Tyle zegarów – ile ludzi...

Ja liczyłam lata swoim menu obiadowym, więc pozwól mi wierzyć, że są lata ziemniaków i lata ryżu...

Ziemniaki przyniósł mi ten, który choć był krótko, to jednak zdążył cię splotdzić. Był wtedy wśród nas najbardziej neurotyczny – nie chcę przez to powiedzieć, że ten ekscentryk z kozią bródką, ten młody, obiecujący grafik, który miał szansę na karierę nawet międzynarodową – choć otaczał się tak interesującą mgiełką, to jednak jadał jak zwykły śmiertelnik – wielkie nieba – jadał ze smakiem ziemniaki... Wszyscy jedliśmy wtedy ze smakiem ziemniaki, nic w tym przecież szczególnego... ale ja po raz pierwszy ze smakiem, z prawdziwym oczekiwaniem na następny raz, jadłam te ziemniaki razem z nim. Czy to była kwestia wody, gatunku, tłuszczu, kopru, czy zielonej pietruszki, którą zwykłam sypać na górę – nie wiem... Kwestia młodości, głodu, powietrza, seksu między jednym daniem, a drugim – powtarzam, że nie wiem...

Odszedł nagle – zresztą wiesz o tym, kiedy nie rozumiałeś jeszcze, co to jest grzechotka... Odszedł nagle (nie zdążył nawet ostygnąć po kąpiel), wykrzykując na całą kamienicę, zbiegając jeszcze po schodach i wykrzykując, że niby jak mogłam pozwolić na to, co się stało. Mianowicie pozwolić na to, by kapał się w strzępach mojej menstruacyjnej krwi, nie zmienić wody, pozwolić by kapał się w strzępach menstruacyjnej krwi... Wtedy wydało mi się to niedorzeczne i sądziłam nawet, że wróci za jakieś trzy, może cztery minuty, czyli tyle, ile potrzeba, by kupić papierosy w kantinie naprzeciwko.

Cała gwardia moich egzotycznych kochanków, którzy przyszli potem, przyniosła ze sobą ryż.

Mógłbyś pomyśleć, że nie było wtedy ryżu, albo nie było go tyle, by jeść niemal codziennie.

Mógłbyś tak pomyśleć, gdyby nie korowód niezwykle ciekawych mężczyzn, którzy przekraczali próg mojej pracowni – korowód barwnych postaci – widzę je teraz jak na wczesnym technicolorze, korowód, który pragnę teraz odmalować z pamięci... Byli tam doktoranci filozofii – łącznie trzech, masażyści, zwykli i niezwykli modele, przychodzący pozować nago, partyjni i niepartyjni, był jeden dalekomorski dyplomata, jeden samozwańczy guru ukrywającej się sekty, kilku młodszych malarzy zachłyśniętych orientem, którzy przede mną chcieli odgrywać saladynów – groźnych i dumnych... Przemykali cicho, z powagą albo zawiadczym uśmiechem – zawsze jednak z niezwykle uszanowaniem dla mojej bohemistycznej nory i mojego jędrnego ciała, które traktowali z czcią godną komunii... Przez całe lata jadłam ryż, sycąc się nim bez obaw, że mi go zabraknie – sycąc się też mężczyznami, bez obaw, że kiedyś będę sama... To był luksus, prawdziwy luksus, na który mogłam sobie wtedy pozwolić... Potem już tak zostało. Najcięższe chwile zapychałam chlebem albo po prostu głodowałam z godnością – kiedy nie można było już nic kupić, albo gdy miałam już dosyć mężczyzn... Ryż powrócił, kiedy skończyły się strajki i godziny policyjne... Pojawił się nawet w saszetkach, przybył z najdalszych zakątków świata, prosto do rąk, długoziańczy, oczyszczany, w różnych wersjach, w towarzystwie gotowych sosów w słoiczkach...

wolny... powszechny... nieoceniony... dla wszystkich... suwerenny ryż dla wszystkich... Teraz już nie smakuje jak wtedy, prawdę mówiąc zupełnie nie przypomina mi tamtego ryżu, nie mówiąc już o tych niecnych sosach, których nigdy – przysięgam – nie spróbuję... Jem go tylko z przyzwyczajenia, może tylko z lekką nostalgią dotyczącą jego walorów smakowych...

Chciałabym teraz potępić to, co zrobiłeś niemalże już miesiąc temu... Nie mogę spojrzeć ci w oczy, sam chyba z resztą to rozumiesz, nie mogę i na razie nie czuję, by to było możliwe... Muszę więc powiedzieć ci to z pewnej odległości. Choć w ostatnich dniach nasze stosunki się poprawiły – potrafimy się już razem spotkać widelcami przy obiedzie, na dnie salaterki – to jednak nie nadszedł jeszcze ten czas, bym odczuła gotowość do konfrontacji... Ten czas w ogóle nie musi nadchodzić, jeśli powstaje zapis mojej mowy na kasecie...

Będziesz mógł jej słuchać, ile tylko potrzebujesz, wiem doskonale, że prędzej czy później po nią sięgniesz...

Może stanie się to szybciej niż przypuszczam, może cię nie doceniam, jeśli tak – wybac...

A więc zaczynam: proszę wstać – wstań – sąd idzie... proszę siadać – siadaj... rozpoczynam rozprawę pierwszą i jedyną dotyczącą... Nieważne! Po prostu: Oskarżam cię...

Oskarżam cię o to, że dziewiątego marca bieżącego roku, wtargnąłeś do mojej pracowni, rozbiłeś trzy sztalugi, z hukiem dopadłeś mnie siedzącą na krześle pod ścianą... rozkoszując się intymnym spotkaniem... Chwyciłeś go, gdy jeszcze nieświadomy niczego, kłęzący przede mną kończył właśnie penetrację mojego obudzonego wnętrza... I chcę, żebyś wiedział, że się nie myliłeś wtedy, gdy tak spojrzeliśmy prawie z odruchem wymiotnym, z niezmiernym obrzydzeniem na ten punkt, który zaświecił na chwilę pomiędzy moimi udami... On... Tak – nie myliłeś się wtedy – on robił to językiem... I tak samo jak ty spojrzeliśmy na mnie – tak samo ja teraz ci powiem – doświadczyłeś tego jako nieliczny zapewne – stałeś tak i gapiełeś się jak inny mężczyzna zaspokaja Twoją matkę... Potwierdzam to, co w amoku mogłeś przeoczyć... Nie myliłeś się... Potem... Pamiętasz? Rzuciłeś się w naszym kierunku... Chwyciłeś go za plecy, niemalże uniosłeś do góry i, odwracając twarzą do siebie, wypunktowałeś, trzepnąłeś pięścią tak mocno, że zawyłam wtedy z bólu razem z nim... Potem odwróciłeś się na pięcie i wyszedłeś, zostawiając nas samych... Oskarżam cię o to, że tego dnia doskonale wiedziałeś, że jestem z nim sam na sam i że zrobiłeś to z premedytacją, z brutalnością dorastającego dziecka, które jest zazdrosne o każdą chwilę, każdy gest, każde słowo, dziecka, które jest zazdrosne o wszystko, co tylko nie spotyka bezpośrednio jego, o wszystko to, co – zamiast głaskać jego cukierkowe ego – daje przyjemność innym... Od dnia, w którym skończyłeś siedemnaście lat – dokładnie tyle – miałam teraz wiele czasu, żeby sobie to przypomnieć i skalkulować, od tego feralnego dnia, kiedy postanowiłam, że nadszedł czas, by cię naprawdę kochać, od tego dnia... a było to bardzo dawno... nie byłam z żadnym mężczyzną... Od dnia twojej komunii świętej żaden mężczyzna nie przekroczył progu naszego domu... Wujków musieliście więc znosić stosunkowo niedługo. Potem spotykałam się z mężczyznami wszędzie, tylko nie w naszym przytulnym azylu... I choć wiedziałeś, że nie spotykam się z nimi tylko po to, by rozmawiać o sztuce, to jednak funkcjonowała między nami sekretna, niepisana i nigdy niewypowiedziana umowa, w której – sam jeszcze nie rozumiejąc do końca – dawałeś mi przyzwolenie na to – nazywając to łajdaczeniem – by oddawać swoje ciało, czas, umysł, czasem duszę innym mężczyznom... Ale tamtego lata, kiedy wróciłeś z obozu wędrownego, kiedy opowiedziałeś mi o swojej koleżance, którą tak czysto i niewinnie pokochałeś... od tamtego dnia, kiedy zrozumiałam, że minęło już kilkanaście lat, że dorosteś, a ja jeszcze nie potrafię cię kochać, wtedy postanowiłam... Zerwałam wszelkie stosunki z mężczyznami i postanowiłam znaleźć trochę miłości dla ciebie. Powiesz, że byłam już zmęczona, wypalona, uschła, a macierzyńska nostalgia przyszła mi nagle z pomocą. Powiesz, że chciałam wtedy zmiany, że chciałam wyrwać się z nudy, z bezkresnej nudy tego upalnego lata, tych upalnych spotkań tego niekończącego się, rozgorzałego lata, które przyniosło mi tyle słodkiego, rozkosznego cierpienia... Przypuszczasz może,

że zostałam opuszczona, zdradzona, pozostawiona i rozumiałam swoją zabawkową pozycję w rękach potężnych, opalonych, smukłych tytanów, którzy zabierali mnie na swoje dachy, bym po długich nocach malowała ich piękne ciała całymi dniami, od wschodu do zachodu słońca... Wiem, że możesz myśleć te wszystkie rzeczy na raz... Był wieczór... Różowało... Słońce tliło się jeszcze... Moje palce zanurzone w ziemi... tak suchej, że żadne życie nie miało prawa w niej wzrosnąć... Patrząc na nie, opłakiwałam balkonową surfinię, którą zapomniałam podlać... Wtedy zapukałeś ty... Otworzyłam ci dziwnie zbolata, w zapytonych dłoniach, z włosami zlepionymi przez całodzienny żar, biedna i zbolata, zbolata i osłabiona... Stałeś na progu jak młody bóg... Opalony, osmagany wiatrem, prężny, silny, w harcerskim mundurku, który jeszcze podkreślał twoją opaleniznę i witalność... Wielki plecak wyrastał nad tobą jak wulkan... Byłeś piękny... Miałeś wtedy siedemnaście lat i potrafiłeś mnie tulić jak nikt inny... Zrobiłeś to wtedy na progu: radosny, ożywiony, gorący od słońca... Zrobiłeś to tak mocno, że zakreśliło mi się przed oczami, niemalże uniosłeś mnie do góry w czułym powitaniu... Resztę znasz...

Ten mężczyzna, którego nakryłeś ze mną to R. M. Poznałam, go na mieście jakiś czas temu. Początkowo łączyły nas tylko interesy. To emerytowany architekt, który na stare lata zajął się jeszcze handlem obrazami. Otwiera właśnie galerię, może już otworzył. Komercyjną. Byłam tam dwa razy, lokal był jeszcze surowy, zaprosił mnie, żebym obejrzała to imponujące wnętrze – chciał kupić kilka moich obrazów, ale nie byłam pewna, dawno tego nie robiłam... Propozycję okraślił wytworną kolacją. Potem wszystko poszło tak jak zwykle, ale broń Boże, nie mówię tego z ignorancją. Ludzie się poznają, zaczynają spędzać ze sobą czas – pamiętasz jak zaczęłam wychodzić nieco częściej – i w jednej chwili dochodzi do ciebie to, co niezauważalne na pierwszy rzut oka... Że ten nieco już przygarbiony, nieco – wydawało mi się – zbyt szczupły jak dla mnie inteligent po sześćdziesiątce zaczyna być interesujący: mówi do ciebie i rozumiesz jego słowa – są ciepłe, mądre, doświadczone... Patrzy na ciebie i zaczynasz czuć urok czyjegoś uwielbienia – sam zaczyna się wydawać coraz bardziej atrakcyjny... Potem robi kilka takich prostych rzeczy, o których już dawno zapominałam i staje się bliski jak nikt przedtem... Nie lubi piłki nożnej, nie boi się śmierci – świetne poczucie humoru i co najważniejsze... uwielbia ziemniaki...

R.M. przyniósł mi ponownie ziemniaki...

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem... Nie mogłam uwierzyć, że lubi ziemniaki... Przez swoją fobię, nie mogłam uwierzyć, że ktokolwiek mógłby lubić ziemniaki zamiast ryżu...

Pierwsze ziemniaki obrał mi sam, w swoim domu... Porządne, drogie ziemniaki z ekskluzywnego SAM-u... Moje nawrócenie wymagało specjalnej oprawy... Celebrował długo gotowanie na źródlanej wodzie... Zjadłam je ze złością... Tak właśnie smakują ziemniaki – pomyślałam, a on śmiał się do mnie i cały wieczór improwizował dla mnie na starym pianinie...

Kiedy go poznałeś – przecież już dosyć dawno – zajadaliśmy właśnie ziemniaki w pokoju dziennym, umilając sobie czas konwersacją i czekając na twoje przybycie. Wydawałeś się miły tego wieczoru, kiedy ścisnąłeś jego dłoń, myśląc pewnie, że to tylko znajomy albo kontrahent, którego z uprzejmości poczęstowałam obiadem... Dopiero, kiedy twój wzrok

padł na półmisek z kartoflami... R. wytrącił mnie z odrętwienia dosyć szybko... Rzucił jakiś niezwykle zabawny dowcip o zakonniczy... Pozostałeś w cieniu, aż do dziewiątego marca, wytrzymałeś tylko tyle... Zdzierżyłeś jakieś dwa miesiące w skrytości ducha, odliczając czas, jaki mi dałeś... Odprowadziłam go zbolatego do drzwi... Wymamrotał, że nic mu nie jest, wsiadł pospiesznie do samochodu i odjechał... Dzwoniłam do niego tego dnia co piętnaście minut... Nie dane mi było już więcej zamienić z nim słowa... Nie odezwał się już więcej... od miesiąca...

Staram się przypomnieć sobie, co zrobiłam bezpośrednio po tym, jak obaliłeś go na podłogę i wyszedłeś. Nie pamiętam, byłam chyba zbyt rozpalona... Początkowo nie mogłam nawet się nad nim pochylić... Błogostan, który rozlał się na moim cieple od jego pieszczot, wymieszany ze strachem i gniewem, odebrał mi wszystkie siły... Każdą ich kroplę, a zdołałam nazbierać tak niewiele... To przyszło nagle jak tropikalna gorączka... Rozlało się od moich ud na podbrzusze, piersi, plecy, szyję – oparta o ścianę nie mogłam uwierzyć, że jest mi tak błogo... Złapałam mocno jego rozedrganą głowę, by ją tulić do swojego łona... A on oszalały z podniecenia szeptał do mnie jakieś niezrozumiałe zaklęcia... Słowa, których nigdy nie słyszałam... I rozumiałam, że nikt i nic nigdy nie dał mi więcej, niż te szepety i pocałunki...

Ani sztuka, ani filozofia, ani odnowa w duchu świętym, buddyzm zen i joga... żaden z tych wszystkich, którzy byli... Rozumiałam, że nie potrzebuję już nic więcej... tylko jego szepcików i pocałunków, które spadają na moje drżące uda i pędzą wyżej i niżej... krążą impulsywnie po moich pachwinach wyżej i niżej... potem znów spadają na uda... coraz głębiej i głębiej...

(koniec nagrania – kasetka skończyła się – bezgłośnie)

Wrocław, 9 kwietnia 2006

Justyna Kościelna rysunek nr 1